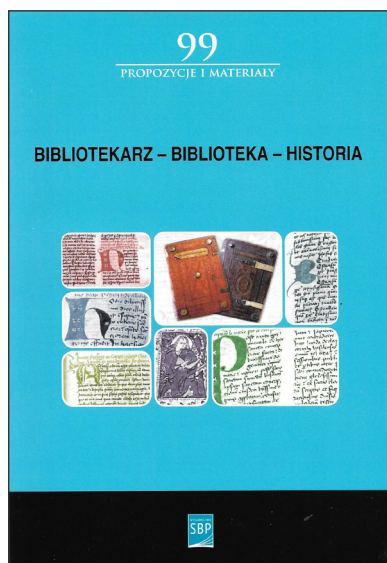


JACEK WOJCIECHOWSKI

Bibliotekarz – biblioteka – historia,
red. Andrzej Wałkowski, Warszawa:
Wydawnictwo Naukowe i Edukacyjne
Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich 2018, s. 282.
ISBN 978-83-65741-15-8 (Propozycje i materiały)



Tytuł tej książki nie sygnalizuje żadnych treści: jest jak dziurawa dziura. Bo też i wewnątrz wszystko jest mocno z treścią na bakier. Czasami takie edycje określa się jako *silva rerum*, ale na to muszą jednak składać się jakieś treści **znaczące**, nawet jeśli rozmaite, tymczasem takich jest tutaj mniej niż mało. Bo to jest publikacja bardzo nieudana.

Redaktorem całości (wmontowanej w edytorską serię bibliotekarską) nie jest bibliotekoznawca, ale historyk: mediewista. Myślę, że to ważne. Gdyby bowiem ten tom (oraz odnośna konferencja) został ograniczony wyłącznie do treści historycznych – taki zresztą jest segment główny i tekstów marnych widzę w nim mniej –

to byłyby ewentualnie ciekawszy i wartościowszy. Tymczasem *obskakiwanie* rozmaitych detalicznych tematów okołobibliotekarskich okazało się niefortunne, bo mało kompetentne i najwyraźniej uciekło spod kontroli. Bajkopisarskie deklaracje we wstępie oraz w posłowie nie zmieniają tego w żadnym stopniu.

Nie zafunkcjonowała także weryfikacja recenzencka. Książkę oceniał bowiem również mediewista, obecnie wprawdzie z innej uczelni, ale kiedyś pracowali razem z kreatorem tej książki i mam takie wrażenie, że wyrażona opinia miała charakter głównie grzecznościowy. W rezultacie uległy zamrożeniu elementarne, projakościowe mechanizmy edytorskie, no i to jest oferta właściwie dla nikogo. Najwyżej przyniosła

współautorom *punkty*, które obecnie zastępują w nauce jakikolwiek inny sens.

Wyrażam z tego powodu niesmak: także jako płatnik. Ponieważ zostały na mnie wymuszone aż dwa wydatki. Jeden w ramach podatku – książka była dotowana – drugi zaś z tytułu nabycia. Niestety za nic, co byłoby mi do czegokolwiek przydatne.

Tom inauguruje dwa odpryski jubileuszowej chwalby SBP, moim zdaniem już zbędne, bo i bez tego stulecie stowarzyszenia opisano z nadmiernym szumem: zdecydowanie ponad rzeczywiste zasługi tej naszej głównej organizacji zawodowej. **Magdalena Kwiatkowska** ponownie zasygnalizowała działalność terenowych ogniw SBP po wojnie, w znacznym stopniu powtarzając to, co znacznie ciekawiej napisała w jubileuszowym tomie SBP¹. No więc mam wątpliwości, czy takie dopełnienie rzeczywiście było potrzebne.

Natomiast już bezdyskusyjnie kiepski jest tekst **Iwony Kaczmarek** o Janie Augustyniaku, traktujący zresztą bardziej o praktyce SBP niż o tytułowej postaci. Tymczasem działaczem stowarzyszenia to on był w dalszej kolejności, natomiast przydawał blasku tej organizacji, bo to był rzeczywiście **ktoś**. Ale tego w tekście niestety nie widać. Doskonały znawca profesji, wybitny specjalista, ale także bardzo żywa osobowość, mimo że w późniejszych latach poruszał się o lasce. Tymczasem w autorskiej relacji objawia się postać nijaka i drętwa, w kontekście mało istotnych wydarzeń i wplątana w trzeciorzędne funkcje. Skoro już, to jednak trzeba było zasygnalizować, że był członkiem, ważnej wtedy, Rady Kultury i Sztuki oraz Rady Naukowej Biblioteki Narodowej. Ale najgorzej, że wcale z tego tekstu nie wynika, kim był **przede wszystkim** ani jaki miał **poważny** dorobek zawodowy i naukowy. W ten sposób to można prezentować osoby z poziomu sołectwa.

Nigdzie nie padło określenie **prof.** To co: w SBP przestawał być profesorem?! Od 1956 roku Jan Augustyniak był profesorem nadzwyczajnym Uniwersytetu Łódzkiego i to nie byle gdzie, bo w pierwszym polskim ośrodku kształcącym bibliotekarzy na poziomie akademickim. W całej historii naszego bibliotekarstwa profesorami zostało raptem trzech pracowników bibliotek publicznych – i jeszcze jeden docentem. Nie można było o tym choćby wspomnieć?

Oraz jest jeszcze w tym tekście paskudna wpadka osobowa, kiedy to (s. 31) pojawia się jakiś B. Łachowiak. W rzeczywistości **Teodor Błachowiak**, zawodowy bibliotekarz (to wśród dyrektorów bibliotek nie było i nie

¹ *Stowarzyszenie Bibliotekarzy Polskich. Przeszłość i teraźniejszość*, red. J. Konieczna, Warszawa 2017, s. 179–232.

jest normą), był wieloletnim dyrektorem Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Toruniu. A w latach 1949–1954 był przewodniczącym Miejskiej Rady Narodowej w Toruniu, czyli po dzisiejszemu Prezydentem Miasta Torunia. Bibliotekarze bywali oraz bywają niekiedy burmistrzami albo wójtami, ale prezydentem dużego miasta był z tego grona tylko Teodor. Bardzo zresztą chwalony i później (byłem świadkiem) za to, że nie pozwolił na likwidację linii tramwajowych w Toruniu, mimo że były po temu silne naciski.

Wyliczanie dalszych słabości tego tekstu nie ma sensu. Mizeria polega zresztą również na niemiernym rejestrze źródeł. Obie panie pominęły fundamentalny artykuł Andrzeja Kempy², wobec którego niewiele dostrzegam treści nowych. Nie ma też odwołań (Kaczmarek powołuje się na jedną) do lokalnie ważnych publikacji Izabeli Nagórskiej³. To nie do końca zgadza się z naukowym charakterem wypowiedzi.

Podział książki – tak jak i konferencyjnego pierwowzoru (bo to jest tom postkonferencyjny) – na cztery segmenty treściowe nie zatartł przedmiotowego rozchwiania, zwłaszcza że jeden z segmentów jest jednotekstowy. Ale obok niespójności kłopot główny polega na tym, że segmenty trzeci oraz czwarty nie są lepsze niż ten pierwszy, który właśnie zasygnalizowałem.

Zdecydowanie niczego poza zdumieniem nie może wzbudzić zawarta tam relacja o rymotwórczych dokonaniach łódzkich bibliotekarek. Amatorskie próby wierszowań nadal bywają dość liczne, czasami zdarzają się nawet publikacje, ale to nie jest świadectwo czegokolwiek znaczącego. Taka wypowiedź tutaj to mniej więcej tyle, co w monografii medycznej doniesienie o szydełkowaniu pielęgniarek.

Racjonalny natomiast jest opis funkcjonowania Biblioteki Uniwersytetu Łódzkiego w ostatnim dziesięcioleciu, przedstawiony przez **Marzenę Kowalską**. Jednak poza wysoce stereotypową informacją o typowych przejawach działalności – nie wątpię, że produktywnej – nic szczególnego z tego nie wynika. Bliźniaczo podobnie, albo wręcz fotograficznie, bywa referowana codzienność innych bibliotek uczelnianych⁴. Tymczasem podejście naukowe wymaga syntetyzacji, której tu nie ma. I nawet rozmnożone, laurkowe sprawozdania wielu uczelnianych bibliotek ku temu nie prowadzą. Jest (było?) w Polsce ponad tysiąc bibliotek akademickich; czy wszystkie muszą być opisane detalicznie i co z tego miałyby wynikać?

² A. Kempa, *Siedemdziesiąt lat Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich w Łodzi (1919–1989)*, „Acta Universitatis Lodziensis. Folia Librorum” 1992, nr 3, s. 77–89.

³ „Przegląd Biblioteczny” 1972, nr 1 s. 127–131 oraz 1981 nr 3/4, s. 424–426.

⁴ Np. w: *Biblioteka naukowa: czy jeszcze naukowa?*, red. K. Jazdon, Poznań 2018, s. 73–84, 85–95, 155–166, 201–213, 215–226, 237–248, 261–267.

Nie widzę natomiast powodu, żeby kwestionować wartość rozważań **Aliny Brzuskiej-Kępy** o książkach ilustrowanych dla dzieci oraz o recepcji, wspartych przez solidne analizy konkretnych przykładów. Autorka ciekawie oraz ze znanstwem omawia dwusemiotyczny charakter takich wydawnictw, a także prawidłowości odbioru. Nieporozumienie jednak polega na tym, że lokalizacja tego tekstu akurat **w tej** książce, w takim a nie w innym kontekście treściowym, całkowicie mija się z sensem. Nikt tam nie będzie tego szukał. A szkoda!

Całkowicie odrębną *zszywkę* książki stanowi ilustrowana relacja **Zdzisława Kropidłowskiego** o wyczytanych w internecie prezentacjach architektonicznych projektów bibliotek, nagradzanych przez IFLA. Są tam przejęte fotografie oraz opinie, głównie sprawozdawcze, chociaż z próbą zasygnalizowania wybranych w tym zakresie tendencji, lecz moim zdaniem – chybioną.

Rzecz w tym, że światowe piśmiennictwo na ten temat jest obfite (o czym nieraz donosiłem w „Przeglądzie Bibliotecznym”) i rejestruje **różne** koncepcje oraz trendy, ale żadnego echa w tym tekście nie ma. Są przywołane i zreferowane wyłącznie sieciowe materiały dokumentacyjne, dotyczące tylko czterech bibliotek, oraz dwa teksty luźno z tematem związane. Tymczasem również w Polsce pisywano na ten temat niemało. Nie jest więc tak, jakby tą problematyką nie zajmował się nikt przedtem.

Oraz jest coś jeszcze. W kwietniu 2017 roku na konferencji w Uniwersytecie Kazimierza Wielkiego w Bydgoszczy ten sam autor wygłosił referat *Dziecko zaprasza do biblioteki. O kilku aspektach projektu Dokk1. Miejski Ośrodek Medialny w Aarhus*. Otóż w tekście obecnym dostrzegam liczne powtórzenia na s. 263–265, 268–270 i 272–273. Jednak nigdzie nie ma sygnału, że jest to relacja częściowo powtórna. Moim zdaniem: tak być nie powinno.

Najbardziej rozbudowaną część tomu zajmuje problematyka historyczna, być może w pierwotnych intencjach (również konferencji) główna i gdyby tylko do niej całość została ograniczona, to wywołałaby znacznie lepsze wrażenie. Co nie znaczy, żeby i tam brakowało wypowiedzi nietrafionych.

No bo trudno zgadnąć, czemu, w **takim** wykonaniu, miałyby służyć schematyczne opisy średniowiecznych książek kucharskich, poza ogólnikową konkluzją, że prezentacje ówczesnych potraw odbiegają od przepisów dzisiejszych. W jakim sensie? Oraz: co miałyby z tego wszystkiego wynikać? Relacja mogłaby być ciekawa, ale nie jest.

Z kolei nie widać żadnej jednolitej klamry narracyjnej i treściowej w nadmiernie szczegółowych opowieściach o konwentualnych bibliote-

kach rozmaitych zakonów z okresu średniowiecza i późnego średniowiecza. To rzeczywiście jest *komunikat*, jak napisano w tytule, ale też nic więcej. Bo za bardzo zdawkowy, a zarazem detaliczny, oraz niestety nieklarowny, żeby mógł przykuć uwagę.

Podobnie czysto sygnałowy charakter ma relacja na temat kilku rękopisów z dawnych bibliotek zakonu krzyżackiego. Sama eksplikacja jest wprawdzie poprawna, ale wbrew sugestii zawartej w tytule szkicu – żadnej oceny znaczenia historycznego tam nie ma.

No jest jeszcze próba charakterystyki bibliotek we Włocławku, w okresie zaborów, jednak nadająca się ewentualnie do publikacji lokalnej. Powiadomienie, że były tam wtedy takie a nie inne biblioteki, niczego nowego do wiedzy nie wnosi. Dokładnie takie same biblioteki były wszak w miastach pozostałych, ale nie wyobrażam sobie sensu tysiąca podobnych relacji na ogólnokrajowym forum. Zdecydowanie brakuje w tych kilku tekstach syntetyzacji oraz konkluzji ogólniejszych, a także – nie da się ukryć – narracyjnej swady.

Na radykalnie przeciwnym biegunie jakościowym sytuuje się natomiast opowieść **Iwony Imańskiej** o toruńskich uczonych z przełomu XVII i XVIII wieku oraz o ich osobistych księgozbiorach; to frapujący i świetnie napisany tekst. W rezultacie konstytuuje się zbiorowy wizerunek ludzi światłych – głównie pochodzenia niemieckiego, ale to niczego nie zmienia – stanowiących ówczesną elitę intelektualną oraz windujących naukę na poziom bardzo wysoki. Autorka doskonale to relacjonuje oraz mądrze uogólnia.

Równie interesująca i kompetentna jest wypowiedź **Elżbiety Pokorzyskiej** oraz **Katarzyny Gorczewskiej-Semki** na temat oprawiania i przeoprawiania dawnych ksiąg. Zjawisko okazuje się złożone. Oprócz bowiem opraw pierwotnych zdarzały się również nieco późniejsze, czyli z **epoki** (do 10 lat od powstania książki), ale także potem oprawy **wtórne**, czasem sprzeczne z charakterem oprawianych ksiąg. Autorki piszą o tym wyjątkowo ciekawie, przywołując liczne przykłady, a jednocześnie z uogólniającym komentarzem syntetycznym.

Wydawałoby się, że trudno kogoś zainteresować czymś tak (niby) trywialnym jak oprawa ksiąg. Tymczasem okazuje się, że jeśli ktoś rzeczywiście zna się na rzeczy i w dodatku lubi to, co robi – to jest w stanie swoim tematem przykuć uwagę każdego.

Udało się to również **Dariuszowi Taborowi**. Opowiadając o książkach, z których w XIII wieku korzystali na Śląsku książęta, biskupi i mnisi, stworzył ciekawą retropanoramę elitarnego obiegu książki tam i wtedy. Z ogólniejszą konkluzją, odpowiednio udokumentowaną – że to byli ludzie światli. Ciekawostka: była wśród nich także Jadwiga, żona Henryka

Brodatego. To jest przyczynek dowodowy, poświadczający mądrość ówczesnych kobiet. Bagatela – 800 lat temu!

Podobne i również ciekawe świadectwo żeńskich zainteresowań intelektualnych, ale już z okresu od XVI do XVIII stulecia, przedstawia **Katarzyna Kaczor-Scheitler**, na podstawie ascetycznych rękopisów, wyłowionych ze zbiorów klasztoru Norbertanek w (dzisiaj: na krakowskim) Zwierzyńcu. To był jeden z najstarszych żeńskich klasztorów w Polsce; miał własną bibliotekę, a mniszki zajmowały się również pisaniami twórczym. Szczególnie interesujące wydają się zapisane medytacje Teresy Petrycówny, profesorskiej córki, *Pobudki do zakonnego życia* – szczegółowo omówione w innym opracowaniu autorki artykułu. Razem z szerszym rejestrem przywołanych książek (ujętych w formę tabel) daje to niejakię pojęcie o stanie umysłów kobiet, które wybierały wtedy życie zakonne.

Także ilustracyjny charakter ma doniesienie **Katarzyny Chmielewskiej** o średniowiecznych wzmiankach na temat ówczesnych bibliotek klasztornych oraz osób, które się nimi zajmowały. Autorka przejrzała w tym celu i szerzej skomentowała pięć kronik średniowiecznych, sygnalizując fragmentarycznie obraz ówczesnych zachowań okołoksiązkowych.

No i są jeszcze w tej książce dwa warte uwagi wystąpienia, odnoszące się do *przeszłości* najświeższej. Tak więc **Ryszard Żmuda** dostarcza sporą garść informacji o bibliotekach kościelnych w powojennej Polsce, sygnalizując w uzupełnieniu obfitą literaturę przedmiotu. To racjonalna i bardzo rzeczowa relacja, zwracająca też uwagę na kiepskie warunki finansowe, techniczne, a nawet kadrowe tych bibliotek – jakkolwiek z kolei kadra kierownicza nieraz była tam i jest bardzo dobrze wykształcona.

W równie rzeczowej tonacji **Ewa Borsuk** i **Ewa Dąbrowska** piszą o książkach w PRL *zakazanych*. Obliczyły, że na przemiał skazano wówczas kilka milionów egzemplarzy książek ideologicznie *nieśluszných*. Kierowała tą akcją Wanda Michalska. Pamiętam ją z lat późniejszych – już nie była tak zacietrzewiona, ale jednak w swoim czasie skwapliwie naśladowała niesławne praktyki Nadieżdy Krupskiej. Z tego swoistego *odrżutu* oficjalnie zachowały się tylko nieliczne kolekcje w największych bibliotekach naukowych. Najprzód jako *prohibita*, po 1956 roku *resy*, a od 1978 roku nieco liberalniej, bo obok *resów* także *rara*. Ograniczenia zniesiono po 1980 roku.

Z własnego doświadczenia dopowiem, że w wielu mniejszych bibliotekach uchowały się paczki z książkami, wtedy *zakazanymi*, bo bibliotekarze podmieniali je, wysyłając na śmieci makulaturę rzeczywistą. Natomiast po latach często okazywało się, że tych uratowanych książek... nikt już nie chce.

Są też w tym tekście zasygnalizowane dawne kłopoty z **pozyskiwaniem** książek zagranicznych. Ale i tu warto dopowiedzieć, że obecnie zamiast barier ideologicznych oraz urzędowych mamy do czynienia w tym zakresie z ograniczeniami finansowymi. Za naukowe publikacje zagraniczne trzeba bowiem płacić jak za woły i – wbrew temu, co różni tacy plotą bez sensu – za wersje elektroniczne tyle samo, co za drukowane.

Niestety jednak interesujących wypowiedzi jest w tym tomie za mało, żeby całość dało się ocenić pozytywnie. Edytor – Wydawnictwo Naukowe i Edukacyjne SBP – znalazł się w rejestrze oficyn punktowanych resortu nauki, bo zresztą w tym celu zmienił swoją nazwę. To stwarza szanse na ewentualny napływ naukowych propozycji wydawniczych oraz dodatkowych to tego sum dotacyjnych. Ale: tylko **szanse** i to niekoniecznie bezterminowe. Jeżeli bowiem nie uda się uniknąć knotów, to perspektywy widzę niewesołe.

Tym bardziej że i tak szala nie ma. Ustawa Nauka 2.0 zdemolowała bowiem nauki o bibliotekarstwie i o informacji, a losy stosownych instytutów i katedr, zatem również pracowników, są okryte mgłą. Nie wiadomo więc, czy będzie komu oraz dla kogo publikować.

Jednocześnie zaś kłania się *uniwersalny* idiotyzm wymyślonych (przez kogo?) reguł postępowania. Według których mianowicie potencjalny autor ma napisać naukowy artykuł albo całą książkę i wystarać się o wydawniczą dotację, ale sam z tego tytułu nie dostanie ani złotówki. Jeżeli to nie jest szaleństwo, to co nim jest?

Tekst wpłynął do Redakcji 11 lutego 2019 roku.

